

# **Ilona Wiśniewska-Weiss**

# **Spitsbergen**





**Ilona Wiśniewska-Weiss** - filolog, fotograf. Związana mentalnie z ziemią jeleniogórką. Obecnie mieszkanka Longyearbyen na Svalbardzie, studiuje w Krakowie. Jak sama siebie określa - jest bardziej fotografem-rzemieślnikiem, niż fotografem-artystą. Autorka licznych artykułów na temat fotografii jako ilustracji w literaturze współczesnej (m.in. na [fotal.pl](http://fotal.pl), [ikonosfera.umk.pl](http://ikonosfera.umk.pl) i w „Biuletynie Fotograficznym”), współautorka książki *Interpretując Fotografie. Śladami Susan Sontag* (Kraków 2009).

Na Svalbardzie jest nie więcej niż 40 km utwardzonych dróg. Z Longyearbyen - nieformalnej stolicy archipelagu - można wybrać się łodzią na północ do Pyramiden albo na zachód do Barentsburga. Szybki rzut dwudziestokoronówką norweską. Król Harald V decyduje, że ruszamy na zachód.

Do Barentsburga płynę z redaktorem naczelnym svalbardzkiego tygodnika „Svalbardposten” - Birgerem Amundsenem. Jest środek arktycznego lata, niedzielny poranek, kilka stopni powyżej zera. Odległość - 55 km. Po kilkudziesięciu minutach na zboczach gór pokrytych skarłatą roślinnością zaczynają rysować się pierwsze zabudowania. Wielki, wymalowany białą farbą napis „was przywitajet barentsburg” nie pozostawia wątpliwości, że oto w ciągu godziny przemierzaliśmy drogę z Norwegii do Rosji, albo lepiej rzecz - do surrealistycznego, postradzieckiego tworu z drewna i betonu.

Im bliżej jesteśmy, tym ciszę morską intensywniej zaczyna wypełniać muzyka. I duszący zapach smażonego mięsa. Żeby zaspokoić ciekawość musimy wspiać się po wysokich, drewnianych schodach prowadzących z portu do miasta, miasta, które na pierwszy rzut oka przypomina scenografię z ponurego, nakręconego przed laty i dawno zapomnianego filmu.

Na betonowym placu stoją prowizoryczne paleniska, wokół stoły uginające się pod ciężarem jedzenia i butelek. Żeliwne kotły z parującą zupą bulgoczą na ogniu. I drewniana buda z kapelą wyśpiewującą cklive kawałki o miłości i tęsknocie. W towarzyszących temu okolicznościach arktycznej przyrody widok odbiera zdolność jakiegokolwiek błyskotliwego komentarza. Oto trafiliśmy na odbywające się dwa razy do roku święto górników. Kobiety w kozakach na obcasach i puchowych kurtkach, w pełnym makijażu, tym razem bez rękawiczek, by zaprezentować pracochołny manicure tańczą w parach. Mężczyźni w skórzanych kurtkach, spod których połyskuje świąteczna biżuteria tańczą samotnie. Dzieci bawiące się w ustawionym na środku placu wraku samochodu uśmiechają się zjedzonymi przez próchnicę zębami. Przedstawiciele rosyjskiej kompanii węglowej. Im tańczyć nie wypada. Z początkowych 1500 mieszkańców tej osady, dziś zostało jedynie 400 osób, głównie Ukraińców, pracujących w kopalni węgla kamiennego. Kilka lat temu w jednej z nich wybuchł pożar i do dziś nie wznowiono produkcji. Wydobywa się tylko tyle węgla, by zaspokoić potrzeby garstki mieszkańców. Eksport wstrzymano. W porcie straszą jedynie zardzewiałe, puste kontenery, w których gnieźdzą się mowy. Mieszkańcy nie mają swoich łodzi, nikt więc stąd nie wyjeżdża. Nigdy nie zbudowano też lotniska (poza niewielkim lądowiskiem dla helikopterów), z obawy przed utratą tak strategicznego obszaru na wypadek konfliktu zbrojnego. W sezonie letnim codziennie przyplływają jednak statki

z turystami objuczonymi świetnym sprzętem fotograficznym i żądnymi zrobienia świetnego reportażu o mieście ducha. Tak, my poniekąd też mamy ten status. Oto chocholi taniec na końcu świata. Nostalgia zapijana wódką jest zawsze fotogeniczna.

Słowo „Polsza” otwiera wszystkie serca i butelki. „Ja spod Lwowa!” - oznajmia jegomość o mętym spojrzeniu, co rusz dolewający mi wódki do plastikowego, żółtego kubeczka. „Diewoczka, ja mam rodzinę koło Tarnowa. Ja był w Polszy. Krakow widział”. „Da, da, to jest prawdziwy PAN ze Lwowa” - przedrzeźnia go na oko czterdziestoletnia kobieta o twarzy wyciosanej przez surowy klimat. „Tut niedaleko są Polacy. O tam!” - rzuca ktoś inny wskazując południe, mając na myśli naukowców ze stacji polarnej Hornsund. „Niedaleko” oznacza kilka godzin łodzią, której tu nie ma. Rzeczywiście to jedyni słowiańscy „sąsiedzi”, których na dobrą sprawę nikt tu nie zna, ale świadomość ich obecności oswaja otaczające zewsząd góry i lodowce. Chuderlawy mężczyzna w grubych okularach wręcza mi na pamiątkę długopis made in Germany z wizerunkiem niedźwiedzia i napisem Арктикуголь - nazwą rosyjskiej kompanii węglowej odpowiedzialnej za prace w tym rejonie, której jest dumnym wysłannikiem.

W miarę upływu godzin krąg taneczny wokół młodej, słowiańskiej krwi niepokojąco się zacieśnia. Trzeba „tańcowat”, napić się, śpiewać. Uwolnienie się z objęć najbardziej wytrwałego zalotnika o twarzy starca to sygnał, że czas na nas.

Wspinamy się po betonowym chodniku do „centrum”. Przy głównej ulicy stoi szkoła z zaklejonymi folią oknami, maleńka cerkiewka, drewniane budynki mieszkalne, z misternie zdobionymi ramami okien, zaryglowane wejścia do kawiarenek, biblioteka, a między tym wszystkim monumentalne bloki. Wszystko puste. Gdzieś tam jedynie z resztek zasłon w oknie zerka na nas jakaś postać widmo. Nad wszystkim góruje ogrodzony wysokim płotem (sic!) nowoczesny budynek konsulatu rosyjskiego z dumnie powiewającą na wietrze flagą. Pieczę nad spokojem miasta sprawuje Wódz, którego wielki pomnik stoi w centralnym punkcie miasta. Na jego ottarzu ktoś postawił metalowe słoneczniki. Żelazna władza domaga się żelaznych hołdów.

Jak mówi mi Birger Amundsen - od lat zajmujący się kontaktami norwesko-rosyjskimi w tym regionie - przed dwoma laty władze rosyjskie zaczęły dostrzegać problem Barentsburga, bezzasadność istnienia tej osady, która cierpiąc na deficyt produkcyjny, jest rodzajem samonapędzającej się złej przepowiedni. Urzędnicy zaczęli przyjeżdżać, radzić.

Efektom tego zainteresowania są zapewne dwie nowiutkie, solidne ławki ustawione obok pomnika Lenina. Ławki, których nie powstydziliby się żadna europejska stolica. Jest też - odnowiony w tym roku - kilkumetrowy malunek na jednej ze ścian, będący groteskowym snem ulicznego artysty - mural przedstawiający las brzoźowy, w którym można przysiąść na betonowych schodkach. Jest też bujna, zielona trawa, jakiej nie ma nigdzie w Arktyce, rośnie bowiem w ziemi specjalnie przywiezionej w tym celu z Rosji. Do kopalni można wejść bez większego problemu. Straszą w niej porzuczone wagoniki, puste korytarze i chłód. Ostre słońce wdiera się przez szpary w ścianach dając złudny pozór ciepła. Kiedy muzycy przestają grać, cisza aż piszczyci w uszach. Czarna ziemia przylepia się do butów, kiedy wracamy do portu. W dół schodami. Psy nie szczekają. Psów tu nie ma.

Skoro oddaliśmy swój los władzy dwudziestokoronówki czas na rewers monety. Ten przedstawia łódź. Ta łódź prowadzi na północ. Do Pyramiden, ziemi obiecanej rosyjskiego górnictwa, która stała się ziemią zapomnianą - prawdziwym miastem-widmem.

Po czterech godzinach na statku dobijamy do brzegu, gdzie czeka na nas młody student historii z St. Petersburga. Ma wszelkie atrybuty przewodnika: karabin i solidne notatki. Mieszka w blaszanym, portowym kontenerze. Poza nim jest tu jeszcze dwóch mężczyzn.



I kot. W mieście, które w czasach swojej świetności, przed wysiedleniem w 1998 roku, liczyło ponad 1000 mieszkańców, zbudowano szklarnie pełne warzyw, hodowano bydło i kury, był szpital, wzniesiony z niezwykłym rozmachem dom kultury z halą sportową, salą koncertową na kilkaset miejsc, kinem, restauracjami, klubem nocnym. Mieszkanie tutaj było społeczną nobilitacją. Dla Rosjan, którzy zdecydowali się osiedlić na Spitsbergenie, wszystko miało być w najlepszym gatunku - mówi przewodnik. Miała to być wizytówka Rosji. Wizytówka dobrobytu. Pierwszym ciosem była katastrofa samolotu, w której zginęło około 200 mieszkańców miasta. Potem sukcesywnie zmniejszono wydobycie węgla i docelowo wszystkie kopalnie zamknięto, a mieszkańców wysiedlono do Murmańska. Przez dziesięć lat Pyramiden było miastem zamkniętym. Od kilku lat dopiero docierają tu statki z polarnymi turystami. Co więksi śmiałkowicie zostają nawet na noc. Dość nędznej postury kot odstrasza lisy. Niedźwiedzie odstrasza się karabinem.

Z portu do centrum wiedzie utwardzona droga wzdłuż zdewastowanych budynków i pozostałości po taśmociągu transportującym węgiel na statki. Tych dwu pozostałych mieszkańców miasta wypala gdzieś drewno. Tak na dobrą sprawę gotowi jesteśmy uwierzyć, że ono wypala się samo. Wszędzie snuje się dym. Taki zapach zapada w pamięć w miejscu, gdzie najwyższą roślinność stanowi trawa. Przy bramie wejściowej stoi wagonik z węglem

- ostatni, który wyjechał z tutejszej kopalni w 1998 roku. Domy stoją wzdłuż szerokich uliczek, znowu to pięknie zdobione wokół okien drewno, w którym moszczą sobie gniazda pokrzykujące mewy. „Ten budynek nazywał się Londyn” - mówi nasz przewodnik wskazując na kilkupiętrowy blok obłożony drewnem - „Mieszkali w nim kawalerowie”. Za chwilę dowiadujemy się, że naprzeciwko Londynu stoi Paryż (dla analogicznych przedstawicielek płci pięknej), a szary, odrapany piętrowiec za nimi to „dur dom” - schronienie rodzin z dziećmi. Droga z Londynu do Paryża (lub odwrotnie) zawsze więc znajdowała swój koniec w Rosji. W centralnym punkcie miasta kolejny wizerunek Wodza zagładającego do każdego, zabitego deskami okna. Nie ma kogo zapytać o to, jak tu się kiedyś żyło. Nie ma też czego świętować. Puste domy zachowują historie dla siebie.

Dom kultury - jedyny otwarty budynek w Pyramiden - sprawia wrażenie, jakby przed chwilą wszyscy gdzieś wyszli. Wysiedleńcy nie zabrali prawie nic. Wszystko pozostawione samemu sobie. Pootwierane drzwi i ta cisza. W sali sportowej nieruchome piłki leżą za ledwie pół metra od bramki, w sali koncertowej nadal na scenie stoi fortepian, którego dźwięk wydaje się jeszcze nieść we foyer. Na stole bilardowym czarna ósemka już prawie wpada do łuzu. Na pianinie marki „Czerwony październik” leżą otwarte nuty. Ktoś grał, ale wyszedł na chwilę. Ktoś inny zniszczył bębny i perkusję w pokoju obok. Może na znak

protestu wobec widniejącej tam tablicy zapewniającej o przyjaźni radziecko-norweskiej. Jak mówi mi potem Birger Amundsen - relacje między oboma narodami sprowadzają się w większości przypadków do zdania „tawarisz, na zdrowie”. Rosjanie, w przeciwieństwie do Norwegów nie opuszczają swoich osad tak często. Ich egzystencja sprowadza się w dużej mierze do całkowitego poświęcenia pracy, której jednym z aspektów jest alkoholizm. Są oczywiście tacy, którzy asymilują się w Longyearbyen, zakładają rodziny, pracują inaczej. Ci jednak pozostają w mniejszości.

W pomieszczeniu dawnego urzędu pocztowego, do którego zaprasza przewodnik, można teraz kupić pocztówki. I wódkę w dobrej cenie. Nikt z nas nie kupuje kartek. Nikt chyba nie ma odwagi zapytać, o której godzinie opróżniana jest nieobecna skrzynka na listy.



Svalbard



Svalbard



Longyearbyen



Longyearbyen - opuszczona kopalnia węgla kamiennego



Las brzozowy w Barentsburgu





Lodowiec Nordenskiöldbreen



Billefjord, Morze Barentsa



Pyramiden od strony morza



Billefjord, Morze Barentsa



Pyramiden - wejście do portu



Pyramiden



Pyramiden



Pyramiden - opuszczona kopalnia





Pyramiden - „Londyn”, dom dla kawalerów



Pyramiden - centrum



Pyramiden

kwiecień/maj 2010 r.

[www.galeriawtle.blogspot.com](http://www.galeriawtle.blogspot.com)